

JOANNE K. ROWLING

Harry Potter™

i WIĘZIEŃ AZKABANU



Ilustrowała
MARY GRANDPRÉ

Tłumaczył
ANDRZEJ POLKOWSKI

MEDIA RODZINA



Błądny Rycerz

Wlokąc za sobą kufer, Harry minął kilkanaście przecznic, zanim osunął się na niski murek przy ulicy Magnoliowej, dysząc ze zmęczenia. Siedział tam nieruchomo, wciąż drżąc z oburzenia i wsłuchując się w gwałtowne bicie swego serca.

Po dziesięciu minutach siedzenia w samotności na ciemnej ulicy ogarnęło go jednak nowe uczucie: panika. Z którejkolwiek strony by na to spojrzeć, jeszcze nigdy nie znalazł się w tak parszywym położeniu. Był zagubiony, zupełnie sam, w nieznanym mu świecie Mugoli, nie mając pojęcia, dokąd pójść. A najgorsze było to, że dopiero co użył dość silnego zaklęcia, to zaś oznaczało, że prawie na pewno wyrzucą go z Hogwartu. Złamał ustawę o ograniczeniu użycia czarów przez niepełnoletnich czarodziejów w tak drastyczny sposób, że lada chwila mógł się spodziewać aresztowania przez przedstawicieli Ministerstwa Magii.

Harry wzdrygnął się i spojrział w górę i w dół ulicy Magnoliowej. Co się z nim stanie? Trafi do więzienia czy

zostanie po prostu raz na zawsze wypędzony ze świata czarodziejów? Pomyślał o Ronie i Hermionie i poczuł jeszcze większą rozpacz. Był pewny, że pomogliby mu nawet w takiej sytuacji, ale oboje byli za granicą, a bez Hedwigi nie mógł się z nimi porozumieć.

Nie miał też mugolskich pieniędzy. Na dnie kufra spoczywała sakiewka, a w niej kilka złotych monet czarodziejskich, ale reszta fortuny, którą pozostawili mu rodzice, ukryta była w podziemnym skarbcu banku Gringotta w Londynie. Przecież nie uda mu się zaciągnąć tego kufra aż do Londynu. Chyba że...

Spojrzał na różdżkę, którą wciąż trzymał w ręku. Skoro i tak wyrzucą go ze szkoły (serce biło mu teraz bardzo szybko), to co mu zaszkodzi, jeśli jeszcze raz użyje czarów? Miał odziedziczoną po ojcu pelerynę-niewidkę... A gdyby tak zaczarować kufer, żeby prawie nic nie ważył, przywiązać go do miotły, okryć się peleryną i polecieć do Londynu? Tam mógłby wyjąć resztę pieniędzy ze skrytki i... i rozpocząć nowe życie jako wyjęty spod prawa. Straszliwa perspektywa, ale przecież nie może wiecznie siedzieć na tym murku, bo prędzej czy później będzie musiał tłumaczyć się mugolskiej policji, dlaczego włóczy się po nocy z kufrem pełnym ksiąg z zaklęciami i latającą miotłą.

Otworzył kufer i zaczął w nim grzebać, szukając peleryny-niewidki, ale zanim zdążył ją znaleźć, wyprostował się raptownie i rozejrzał wokoło.

Poczuł dziwne mrowienie na karku, jakby go ktoś obserwował. Ulica wydawała się jednak nadal pusta, a w żadnym z okien wielkich, prostokątnych domów nie zapaliło się światło.

Pochylił się nad kufrem, ale prawie natychmiast znowu

się wyprostował, ściskając mocno różdżkę. Bardziej to wyczuł niż posłyszał: coś czaiło się w wąskiej przestrzeni między płotem i garażem za jego plecami. Zerknął przez ramię na ciemną alejkę. Może się poruszy, to pozna, czy to tylko jakiś kot-włóczęga, czy... coś innego.

— *Lumos* — mruknął Harry i na końcu jego różdżki zapłonęło światło, prawie go oślepiając.

Podniósł ją wysoko nad głową i nagle wyłożona otoczkami fasada domu numer dwa rozjarzyła się iskrami, brama garażu zajaśniała, a między garażem i domem zobaczył wyraźnie ciemny zarys czegoś bardzo dużego, z wielkimi płonącymi ślepiami.

Harry cofnął się, przerażony. Wpadł na kufer, stracił równowagę i runął jak długi w rynsztok. Padając, wyciągnął rękę, żeby osłabić upadek, i puścił różdżkę.

Rozległ się ogłuszający huk i Harry zasłonił oczy przed oślepiającym światłem...

Wrzasnął i w ostatniej chwili zdążył przetoczyć się z powrotem na chodnik. W sekundę później w miejscu, w którym dopiero co leżał, zatrzymała się para olbrzymich kół, między którymi płonęły dwa reflektory. Podniósł głowę i tuż nad sobą ujrzał wściekle czerwony trzypiętrowy autobus, który pojawił się nie wiadomo skąd. Na przedniej szybie widniał złoty napis: BŁĘDNY RYCERZ.

Przez ułamek sekundy Harry pomyślał, że upadając, uderzył się w głowę i majaczy. A potem z autobusu wyskoczył konduktor w purpurowym uniformie i donośnym głosem oznajmił:

— Witam w imieniu załogi Błędnego Rycerza, nadzwyczajnego środka transportu dla czarownic i czarodziejów zagubionych w świecie Mugoli. Wystarczy machnąć ręką, która ma moc, i wejść do środka, a zawieziemy pana, dokąd

sobie pan zażyczy. Nazywam się Stan Shunpike i tej nocy będę pańskim przewodnikiem...

Konduktor nagle urwał. Dopiero teraz dostrzegł Harry'ego, który wciąż siedział na chodniku. Harry odszukał różdżkę i wstał. Teraz zobaczył, że Shunpike był zaledwie kilka lat od niego starszy: mógł mieć najwyżej osiemnaście lub dziewiętnaście lat. Miał wielkie, odstające uszy i mnóstwo pryszczu na twarzy.

— Ty, co ty tu właściwie robisz? — zapytał Stan, porzucając swój oficjalny ton.

— Przewróciłem się.

— A po kiego grzyba? — zachichotał Stan.

— Nie zrobiłem tego umyślnie — odpowiedział Harry, trochę urażony.

Dżinsy miał rozdarte na jednym kolanie, a ręka, na którą upadł, krwawiła. Nagle przypomniał sobie, dlaczego się przewrócił i szybko obejrzał się za siebie. Alejka między płotem a garażem, teraz jasno oświetlona przez reflektory Błędnego Rycerza, była pusta.

— Co tak się gapisz? — zapytał Stan.

— Tu było coś dużego i czarnego — powiedział Harry, wskazując niepewnie na pustą alejkę. — Jak pies... ale chyba większe i bardziej... no... potężne...

Odwrócił się i spojrzał na Stana, który stał i gapił się na jego bliznę z otwartymi ustami. Harry poczuł niepokój.

— Co ty masz na czerepie? — zapytał nagle Stan.

— Nic — odrzekł szybko Harry, przyglądając sobie włosy na czole, żeby ukryć bliznę. Jeśli przedstawiciele Ministerstwa Magii już go poszukują, nie zamierzał im tego ułatwiać.

— Ty, jak się nazywasz? — zapytał Stan.

— Neville Longbottom — wypalił Harry, wybierając

pierwsze nazwisko, jakie mu przyszło do głowy. — Więc... więc ten autobus... — dodał szybko, chcąc zmienić temat. — Mówiłeś, że można nim dojechać wszędzie?

— No jasne — odpowiedział z dumą Stan. — Dokąd zechcesz, grunt, żeby to było na lądzie. Pod wodą nie kursujemy. Ty... — dodał, patrząc na Harry'ego podejrzliwie — machnąłeś na nas, no nie? Wyciągnąłeś rękę z różdżką, tak?

— Tak — rzekł szybko Harry. — Słuchaj, a ile kosztuje do Londynu?

— Jedenaście sykli — odpowiedział Stan — ale jak odpalisz czternaście, to dostaniesz gorącej czekolady, a za piętnaście kopsnę ci dodatkowo butlę gorącej wody i szczoteczkę do zębów. W dowolnym kolorze.

Harry zaczął znowu grzebać w kufrze. Wyciągnął sakiewkę i wysypał kilka monet na wyciągniętą rękę Stana. Potem razem wtaszczyli po stopniach autobusu kufer z klatką Hedwigi na szczycie.

W środku nie było foteli; zamiast nich przy zasłoniętych firankami oknach stało z pół tuzina mosiężnych łóżek. Nad każdym paliła się świeca w uchwycie, oświetlając wyłożone boazerią ściany. Na jednym leżał drobny czarodziej w szlafmocy, który mruknął przez sen: „Nie teraz, dzięki, właśnie trawię parę ślimaków”, i przewrócił się na drugi bok.

— To będzie twoje — szepnął Stan, wsuwając kufer pod łóżko tuż za facetem, który siedział w fotelu za kierownicą. — A to nasz kierowca, Ernie Prang. Ern, to jest Neville Longbottom.

Ernie Prang, starszawy czarodziej w okularach o bardzo grubych szklach, kiwnął głową do Harry'ego, który nerwowo przyglądał włosy na czole i usiadł na łóżku.

— No dobra, daj staremu po zaworach, Ernie — rzekł Stan, siadając w fotelu obok Erniego.

Rozległ się ogłuszający huk i w następnej chwili Harry rozpląszczył się na łóżku, odrzucony do tyłu siłą gwałtownego przyspieszenia. Podciągnął się na łokciach i wyrzwał przez ciemne okno. Mknęli już zupełnie inną ulicą. Stan obserwował jego minę z jawną satysfakcją.

— Tu byliśmy, zanim nas wywołałeś — powiedział. — Gdzie jesteście, Ernie? Gdzieś w Walii?

— Hm — mruknął Ernie.

— Jak to jest, że Mugole nie słyszą tego autobusu? — zapytał Harry.

— Mugole? — powtórzył Stan z pogardą. — Mugole nic nie kumają. Nie potrafią słuchać. Nie potrafią patrzeć. To tumany.

— Lepiej obudź panią Marsh, Stan — odezwał się Ernie. — Za minutę będziemy w Abergavenny.

Stan minął łóżko Harry'ego i wspiał się na górę po wąskich drewnianych schodkach. Harry wciąż wyglądał przez okno, czując się coraz bardziej niepewnie. Ernie sprawiał wrażenie, jakby nie bardzo wiedział, do czego służy kierownica. Autobus co chwila wjeżdżał na chodnik, ale na nic nie wpadał: latarniane słupy, skrzynki pocztowe i pojemniki na śmieci po prostu przed nim uskakiwały i wracały na swoje miejsce, gdy przejechał.

Wrócił Stan, prowadząc nieśmiałą, z lekka pozieleniałą czarownicę otuloną podróżnym płaszczem.

— Jesteśmy na miejscu, pani Marsh — oznajmił uradowanym tonem, kiedy Ernie wcisnął pedał hamulca, a łóżka poleciały przynajmniej o stopę do przodu. Pani Marsh zatkała sobie usta chusteczką i zbiegła po stopniach. Stan wyrzucił za nią jej torbę i zatrzasnął drzwi; znowu huknęło

i pędzili już wąską drogą wśród drzew, które uskakiwały przed nimi w popłochu.

Harry nie byłby w stanie zasnąć, nawet gdyby autobus nie huczał tak strasznie, pokonując setki mil na godzinę. Żołądek ścisnął mu się ze strachu, kiedy się zastanawiał, co go czeka i czy Dursleyom udało się już ściągnąć ciotkę Marge spod sufitu.

Stan wyciągnął „Proroka Codziennego” i zagłębił się w lekturze, wystawiwszy koniec języka. Z pierwszej strony mrugnęło do Harry'ego wielkie zdjęcie wynędzniałego mężczyzny z długimi, splątanymi włosami. Jego twarz wydała mu się dziwnie znajoma.

— To ten facet! — wypalił nagle, zapominając o swoich kłopotach. — Pokazywali go w mugolskim dzienniku!

Stan spojrzął na pierwszą stronę i zacmokał.

— Syriusz Black — powiedział, kiwając głową. — No jasne, że był w mugolskim dzienniku. A ciebie, Neville, gdzie nosiło?

Na widok nieco ogłupiałej miny Harry'ego zachichotał z wyższością i wręczył mu pierwszą stronę gazety.

— Trzeba czytać prasę, Neville.

Harry podsunął gazetę pod świecę i przeczytał:

BLACK WCIAZ NA WOLNOSCI

Jak dziś potwierdziło Ministerstwo Magii, Syriusz Black, jeden z najgroźniejszych przestępców więzionych w twierdzy Azkabanu, nadal pozostaje nieuchwytny.

„Robimy wszystko, co w naszej mocy, by schwycić Blacka”, oświadczył dziś rano minister magii, Korneliusz Knot, „i prosimy społeczność czarodziejów, by zachowała spokój”.

Niektórzy członkowie Międzynarodowej Federacji Magów krytykują Knota za poinformowanie premiera Mugoli o zaistniałym kryzysie.

„Przecież musiałem to zrobić, to chyba oczywiste”, powiedział zirytowany Knot. „Black to szaleniec. Stanowi zagrożenie dla każdego, kogo napotka, czarodzieja czy Mugola. Premier zapewnił mnie, że nie zdradzi nikomu prawdziwej tożsamości Blacka. I powiedzmy sobie szczerze — kto by mu uwierzył, gdyby to uczynił?”

Mugolom powiedziano, że Black ma broń palną (coś w rodzaju metalowej różdżki, której Mugole używają do zabijania się nawzajem). Społeczność czarodziejów obawia się jednak, że znowu może dojść do takiej masakry jak dwanaście lat temu, kiedy Black zamordował trzynaście osób jednym przekleństwem.

Harry spojrział w mroczne oczy Syriusza Blacka, a tylko oczy w jego zapadłej twarzy wydawały się żywe. Nigdy nie spotkał wampira, ale oglądał ich podobizny na lekcjach obrony przed czarną magią. Black, ze swoją białą, woskową cerą, wyglądał jak jeden z nich.

— Można wymięć, jak się na niego patrzy, no nie? — powiedział Stan, obserwując Harry'ego.

— Zamordował *trzynaście osób*? — zapytał Harry, oddając mu pierwszą stronę. — *Jednym przekleństwem?*

— Dał czadu, nie? I to na oczach wszystkich. W biały dzień. Ale była zadyma, co, Ernie?

— Hm — mruknął kierowca.

Stan objął oparcie fotela i wykręcił głowę do Harry'ego, żeby go lepiej widzieć.

— Black był wielkim kibicem Sam-Wiesz-Kogo — powiedział.

— Co, Voldemorta? — zapytał bez zastanowienia Harry.

Stanowi zbiełały nawet pryszcze, a Ernie szarpnął kierownicą tak gwałtownie, że cała wiejska chałupa musiała uskoczyć przed autobusem.

— Chcesz nas władować na drzewo?! — ryknął Stan. — Po kiego grzyba nazywasz go po imieniu?

— Przepraszam — bąknął Harry. — Ja... zapomniałem...

— Zapomniałem! A niech cię szlag, ale mi serce wali...

— Więc... więc Black był zwolennikiem Sam-Wiesz-Kogo? — zapytał Harry przepraszającym tonem.

— No — mruknął Stan, rozcierając sobie pierś. — Jasne, że był. Mówią nawet, że byli bardzo zblatowani. Kiedy ten mały Harry Potter okazał się od niego lepszy...

Harry nerwowo przygładził włosy na czole.

— ...wytropiono wszystkich kiboli Sam-Wiesz-Kogo, no nie, Ern? Większość skapnęła się, że już po herbacie, jak go zabrakło. Ale ten Black to rzadki twardziel. Podobno uznał, że teraz on będzie szefem. W każdym razie osaczyli go na środku ulicy pełnej Mugoli, a Black wyciąga różdżkę i jak nie rąbnie, to z pół ulicy rozwalil, dostał jeden czarodziej i z tuzin Mugoli, co się nawinęli pod różdżkę. Masakra, mówię ci. A wiesz, co Black wtedy zrobił? — dodał dramatycznym szeptem.

— Co?

— Roześmiał się. Po prostu stał sobie na środku ulicy i ryczał ze śmiechu. Ministerstwo podesłało posiłki, no to się poddał, ale wciąż rechotał jak dziki. To czubek, no nie, Ern? Kompletny świr, no nie?

— Nawet gdyby nie był, jak go zamkli w Azkabanie, to teraz na pewno jest — powiedział powoli Ernie. — Ja bym się wysadził w powietrze, gdyby mieli mnie tam zapuškować. A już jego nieźle tam obsłużyli... po tym numerze, co odwalił...

— Aż się skręcali, żeby to jakoś zatuszować, no nie, Ern? — ciągnął Stan. — Zrąbało z pół ulicy, wszędzie trupy Mugoli... Jaki to oni kit wstawili, Ern? Że niby co się stało?

— Wybuch gazu — mruknął Ernie.

— No, a teraz ptaszek im wyfrunął — rzekł Stan, przyglądając się ponownie wychudzonej twarzy Blacka. — Dotąd jeszcze nikt nie nawiał z Azkabanu, no nie, Ern? Niech ja skonam, jak on to zrobił? Tam mają takich goryli, że największy twardziel by wymiękł, no nie, Ern?

Ernie wzdrygnął się.

— Zmień temat, Stan, dobra? Jak słyszę o tych azka-
bańskich klawiszach, to mi się coś wywraca w brzuchu.

Stan odłożył niechętnie gazetę, a Harry oparł się o okno, czując się coraz gorzej. Nie mógł oprzeć się wrażeniu, że straszenie pasażerów jest ulubioną rozrywką Stana. Już sobie wyobrażał, jak opowiada: „Słyszeliście o Harrym Potte-
rze? Zrobił balona ze swojej ciotki! Mieliśmy go tu, w Błęd-
nym Rycerzu, no nie, Ern? Próbował nawiać...”

On, Harry, złamał prawo czarodziejów, był takim sa-
mym przestępcą jak Syriusz Black. Czy za nadmuchiwanie
ciotki Marge mogą go zamknąć w Azkabanie? Nie wiedział
nic o tym więzieniu dla czarodziejów, ale wszyscy wspomi-
nali o nim ze strachem. Hagrid, gajowy Hogwartu, spędził
tam niedawno dwa miesiące. Harry wiedział, że nigdy nie
zapomni wyrazu przerażenia na jego twarzy, kiedy mu
powiedziano, dokąd go zabierają, a przecież Hagrid był
jednym z najdzielniejszych ludzi, jakich znał.

Błądny Rycerz toczył się przez ciemność, rozganiając przed sobą krzaki i pojemniki na śmieci, budki telefoniczne i drzewa, a Harry leżał na swoim wymoszczonym piernatami łóżku, pogrążony w rozpacz. Po chwili Stan przypomniał sobie, że Harry zapłacił za gorącą czekoladę, ale wylał prawie cały kubek na poduszkę, kiedy autobus ruszył gwałtownie z Anglesea do Aberdeen. Co jakiś czas z górnego piętra schodzili czarodzieje i czarownice w długich szatach i bamboszach, żeby wysiąść na kolejnym przystanku. Wszyscy sprawiali wrażenie, jakby opuszczali autobus z największą ulgą.

W końcu pozostał tylko Harry.

— No dobra, Neville — rzekł Stan, klaszcząc w ręce — dokąd cię zawieźć w Londynie?

— Ulica Pokątna — odpowiedział Harry.

— W porządku. Na stare śmieci, co?

Huknęło i po chwili pędzili już z łoskotem po Charing Cross Road. Harry usiadł i patrzył, jak domy i ławki umykają na bok przed Błądny Rycerzem. Niebo trochę pojaśniało. Mógłby gdzieś przycupnąć na parę godzin, pójść do banku Gringotta, kiedy tylko go otworzą, a potem ruszyć w drogę — ale dokąd? Nie miał pojęcia.

Ern wcisnął pedał hamulca i Błądny Rycerz zatrzymał się przed małym, podejrzanie wyglądającym pubem, Dziurawym Kotle, za którym było magiczne wejście na ulicę Pokątną.

— Dzięki — powiedział Harry do Erna.

Zeskoczył na stopień i pomógł Stanowi ściągnąć na chodnik kufer i klatkę Hedwigi.

— No to cześć! — zwrócił się do Stana.

Ale Stan go nie słuchał. Wciąż stojąc w otwartych drzwiach autobusu, gapił się na wejście do Dziurawego Kotła.

— A więc jesteś, Harry — rozległ się czyjś głos.

Zanim Harry zdążył się odwrócić, poczuł czyjąś rękę na ramieniu. W tym samym momencie Stan krzyknął:

— Niech skonom! Ern, chodź tu, szybko! Zobacz!

Harry zerknął przez ramię i poczuł, jak do żołądka wysypuje mu się wiaderko lodu. Wpadł prosto w objęcia Korneliusza Knota, ministra magii we własnej osobie.

Stan zeskoczył na chodnik obok nich.

— Jak pan nazwał Neville'a, panie ministrze? — zapytał, wyraźnie podniecony.

Knot, niski, korpulentny mężczyzna w długiej pelerynie w prążki, sprawiał wrażenie przeziębionego i zmęczonego.

— Jakiego Neville'a? — zdziwił się, marszcząc czoło.

— To jest Harry Potter.

— Wiedziałem! — ucieszył się Stan. — Ern! Ern! Zgadnij, kim jest ten Neville? To Harry Potter! Ma bliźnię, niech skonom!

— Tak — powiedział niecierpliwie Knot. — Cóż, cieszę się, że Błędny Rycerz przywiózł tu Harry'ego, ale teraz on i ja musimy wejść do Dziurawego Kotła...

I wzmógł napór na ramię Harry'ego, popychając go w stronę drzwi pubu. Kiedy znaleźli się w środku, z drzwi za kontuarem wyłoniła się zgarbiona postać z latarnią. Był to Tom, pomarszczony, bezzębny barman.

— Ma go pan, panie ministrze! — zawołał. — Podać coś? Piwa? Brandy?

— Dzbanek gorącej herbaty, jeśli łaska — odrzekł Knot, wciąż trzymając Harry'ego za ramię.

Za plecami usłyszeli głośnie szuranie i sapanie i pojawili się Stan i Ernie, taszcząc kufer Harry'ego i klatkę Hedwigi. Obaj wyglądali na niezwykle przejętych sytuacją.

— Ty, Neville, czegoś nam nie powiedział, kim jesteś,

co? — zapytał Stan, lypiąc na Harry'ego. Ernie zerkał ciekawie przez jego ramię.

— Do *prywatnego* gabinetu, Tom — rzekł Knot z naciskiem.

— Cześć — rzekł smętnie Harry do Stana i Erniego, kiedy Tom zaprosił gestem Knota do korytarzyka za barem.

— Cześć, Neville! — zawołał Stan.

Knot ruszył wąskim korytarzem, popychając przed sobą Harry'ego. Tom wprowadził ich do małego saloniku. Strześlił palcami i na kominku zapłonął ogień, po czym wycofał się z pokoju, kłaniając się raz po raz.

— Siadaj, Harry — powiedział Knot, wskazując fotel przy kominku.

Harry usiadł, czując, że mimo płonącego kominka ramiona pokrywają mu się gęsią skórką. Knot zdjął pelerynę i odrzucił ją w kąt, podciągnął spodnie swojego butelkowozielonego garnituru i usiadł naprzeciw Harry'ego.

— Harry, jestem Korneliusz Knot. Minister magii.

Dla Harry'ego nie było to niespodzianką; widział już kiedyś Knota, ale sam miał wówczas na sobie pelerynę-niewidkę, więc Knot nie mógł o tym wiedzieć.

Pojawił się ponownie Tom, tym razem w szlafroku na nocnej koszuli, niosąc tacę z herbatą i bułeczkami. Postawił tacę na stoliku między fotelami i opuścił gabinet, zamykając za sobą drzwi.

— No, Harry — rzekł Knot, nalewając herbatę do filiżanek — aleś nam napędził strachu, nie ma co! Uciekać w ten sposób z domu wuja i ciotki! Zacząłem już się bać, że... no, ale jesteś cały i zdrowy, a tylko to się liczy.

Posmarował sobie bułeczkę masłem i podsunął talerz Harry'emu.

— Jedz, Harry, wyglądasz jak trzy ćwierci od śmierci.

No więc... na pewno się ucieszysz, jak ci powiem, że już sobie poradziliśmy z tym nieszczęśliwym nadmuchianiem panny Marjorie Dursley. Parę godzin temu wysłałem na Privet Drive dwóch przedstawicieli Wydziału Przypadkowego Użycia Czarów. Panna Dursley została nakłuta, a jej pamięć odpowiednio zmodyfikowana. Nie będzie pamiętać o tym niemiłym incydencie. Tak więc wszystko już jest w porządku i nikomu nic się nie stało.

Uśmiechnął się do Harry'ego znad filiżanki jak wujek gawędzący z ulubionym siostrzeńcem. Harry, który nie dowierzał własnym uszom, otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale nic nie przychodziło mu do głowy, więc ponownie je zamknął.

— Aha, boisz się, co na to wszystko twój wuj i twoja ciotka, co Harry? — zapytał Knot. — No cóż, nie przeczę, że są bardzo rozeźleni, ale gotowi są gościć ciebie w swoim domu w przyszłym roku przez letnie wakacje, jeśli tylko pozostaniesz w Hogwarcie na ferie bożonarodzeniowe i wielkanocne.

Harry odchrząknął i przełknął ślinę.

— *Zawsze* zostaję w Hogwarcie na Boże Narodzenie i Wielkanoc — powiedział — i *nigdy* nie wrócę na Privet Drive.

— No, no, no, jestem pewny, że spojrzysz na to inaczej, kiedy już trochę ochłoniesz — rzekł Knot nieco przestraszony. — Ostatecznie to twoja rodzina i wierzę, że... że w głębi serca jesteście sobie... ee... bardzo bliscy.

Harry nadal nie dowierzał Knotowi i wciąż czekał, aż usłyszy, co go czeka.

— Tak więc pozostaje tylko ustalić — rzekł Knot, smarując sobie masłem drugą bułeczkę — gdzie spędzisz

dwa ostatnie tygodnie wakacji. Moim zdaniem powinieneś wynająć sobie pokój tutaj, w Dziurawym Kotle...

— Niech pan sobie daruje — przerwał mu Harry. — Jaka kara mnie czeka?

Knot zamrugał.

— Kara?

— Złamałem prawo! Ustawę o ograniczeniu użycia czarów przez niepełnoletnich czarodziejów!

— Ależ mój drogi chłopcze, nie zamierzamy cię karać za taką drobnostkę! — zawołał Knot, wymachując buleczką. — To był wypadek! Nie wysyłamy nikogo do Azkabanu za nadmuchiwanie ciotki!

Ale to nie zgadzało się zupełnie z dotychczasowymi doświadczeniami Harry'ego z Ministerstwem Magii.

— W zeszłym roku dostałem oficjalne ostrzeżenie tylko dlatego, że pewien domowy skrzat rozbił miskę leguminy w kuchni mojego wuja! — powiedział, marszcząc czoło. — Ministerstwo Magii zagroziło mi, że zostanę usunięty z Hogwartu, jeśli choć raz użyję czarów poza szkołą!

Teraz Harry nie mógł uwierzyć własnym oczom: Knot sprawiał wrażenie, jakby się zmieszał.

— Wszystko zależy od okoliczności, Harry... Musimy wziąć pod uwagę... w obecnej atmosferze... no... przecież chyba nie chcesz zostać wyrzucony?

— Oczywiście, że nie.

— No więc o co tyle zamieszania? — roześmiał się Knot. — A teraz zjedz sobie buleczkę, a ja pójdę zobaczyć, czy Tom ma jakiś wolny pokój.

Wyszedł z gabinetu, a Harry długo wpatrywał się w drzwi. Działo się coś bardzo dziwnego. Dlaczego Knot czekał na niego pod Dziurawym Ktlem, jeśli nie miał zamiaru go ukarać? Teraz, kiedy zaczął się nad tym zasta-

nawiać, uderzyło go, że to raczej niezwykle, by minister magii osobiście zajmował się używaniem czarów przez niepełnoletnich czarodziejów.

Wrócił Knot w towarzystwie Toma.

— Harry, numer jedenasty jest wolny — oznajmił.

— Myślę, że będzie ci tam bardzo wygodnie. I jeszcze jedno... mam nadzieję, że to zrozumiesz... Nie chcę, żebyś się włóczył po mugolskim Londynie, dobrze? Trzymaj się ulicy Pokątnej. No i musisz wracać przed zapadnięciem zmroku. Nie wątpię, że rozumiesz, dlaczego ci o tym mówię. Tom będzie miał na ciebie oko.

— W porządku — powiedział powoli Harry. — Ale dlaczego...

— Nie chcemy, żebyś nam znowu zniknął, prawda? — przerwał mu Knot i wybuchnął śmiechem. — Nie, nie... chcemy zawsze wiedzieć, gdzie jesteś... znaczy się...

Odchrząknął głośno i podniósł swoją pelerynę w prążki.

— No, na mnie już czas, tyle roboty, sam rozumiesz...

— Znaleźliście już Blacka? — zapytał nagle Harry.

Palce Knota ześlizgnęły się ze srebrnej zapinki peleryny.

— Co? Ach, słyszałeś... no... jeszcze nie, ale to tylko sprawa czasu. Ci strażnicy z Azkabanu są niezawodni... a tym razem naprawdę się zawzięli.

Wzdrygnął się lekko.

— No więc żegnaj, chłopcze.

Wyciągnął rękę, a Harry, ściskając ją, wpadł na pewien pomysł.

— Eee... panie ministrze... mogę o coś zapytać?

— Oczywiście — odrzekł Knot z uśmiechem.

— Trzecioklasiści mogą odwiedzać Hogsmeade, ale ani mój wuj, ani ciotka nie podpisali mi formularza pozwolenia. Może pan mógłby to zrobić?

Knot skrzywił się lekko.

— Aha... Nie, nie, bardzo mi przykro, Harry, ale nie jestem twoim rodzicem czy opiekunem, więc...

— Ale jest pan ministrem magii. Gdyby pan dał mi pozwolenie...

— Przykro mi, Harry, ale przepisy to przepisy — powiedział sucho Knot. — Może będziesz mógł odwiedzić Hogsmeade w przyszłym roku. Prawdę mówiąc, uważam, że najlepiej będzie, jak tego nie zrobisz... tak... no cóż, na mnie już czas. Baw się dobrze, Harry.

Uśmiechnął się po raz ostatni, uściśnął Harry'emu dłoń i wyszedł. Teraz zbliżył się Tom, uśmiechając się do niego przymilnie.

— Proszę za mną, panie Potter. Pańskie rzeczy są już na górze...

Harry wspiął się za nim ładnymi drewnianymi schodami. Tom zatrzymał się przed drzwiami opatrzonymi mosiężną jedenastką, otworzył je i gestem zaprosił go do środka.

Wewnątrz było łóżko, które wyglądało całkiem zachęcająco, trochę błyszczących dębowych mebli, kominek z wesoło trzaskającym ogniem, a na szafie siedziała...

— Hedwiga! — krzyknął Harry zduszonym głosem.

Sowa śnieżna kłapnęła dziobem i sfrunęła na jego ramię.

— Ma pan niezwykle mądrą sowę — zagdakał Tom.

— Przyleciała pięć minut po pana przybyciu. Jeśli będzie pan czegoś potrzebował, proszę mi powiedzieć.

Jeszcze raz się uklonił i wyszedł.

Harry długo siedział na łóżku, głaszcząc bezmyślnie Hedwigę. Niebo za oknem szybko zmieniało barwę: od głębokiego, aksamitnego granatu do zimnej, stalowej szarości, a potem, już nieco wolniej, do różowości podszytej złotem. Trudno było uwierzyć, że zaledwie parę godzin temu uciekł

z Privet Drive, że nie wyrzucono go ze szkoły i że ma przed sobą pełne dwa tygodnie wakacji bez Dursleyów.

— To była bardzo dziwna noc, Hedwigo — powiedział, ziewając.

Opadł na poduszki, nawet nie zdjęwszy okularów, i natychmiast zasnął.